KATARZYNA ROSZAK-MARKOWSKA

Polonistka w Szkole Podstawowej w Starym Mieście. Autorka innowacji przedmiotowych mających na celu rozwój kreatywności oraz kompetencji społecznych dzieci i młodzieży. Inicjatorka objęcia uczniów zdolnych indywidualnym tokiem nauki realizowanym według indywidualnych programów nauczania. Opiekunka laureatów i finalistów konkursów polonistycznych, filmowych, prawniczych, recytatorskich oraz literackich, w tym zwycięzców ***ogólnopolskiego „Konkursu na komentarz", organizowanego przez Uniwersytet Jagielloński w Krakowie.*** *Inicjatorka i koordynatorka zajęć dla uczniów szkoły podstawowej, prowadzonych przez wykładowców SWPS w Warszawie w ramach cyklu Uniwersytetu Młodzieżowego. Pomysłodawczyni wspólnych zajęć z twórczego pisania dla grupy gimnazjalistów i studentów na UAM w Poznaniu.*

Założycielka i opiekunka redakcji czasopisma „Gimnazjon". Pomysłodawczyni zakładki „Twórczość Uczniów" na szkolnej stronie internetowej. Inicjatorka wydania tomiku poezji gimnazjalistów „Na dwa głosy". Współtwórczyni wielu warsztatów filmowych dla dzieci i młodzieży. Organizatorka Gminnego Turnieju Debat Oksfordzkich w Starym Mieście oraz cyklicznej imprezy środowiskowej – Gminnego Sprawdzianu Ortograficznego „Gżegżółka".

Przed podjęciem pracy w szkole była dziennikarką „Głosu Wielkopolskiego" i „Wielkopolskiego Zagłębia". Prezeska Oddziału ZNP w Starym Mieście, współzałożycielka Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego InART. Współpracuje z wieloma instytucjami kulturalno-oświatowymi. Przez kilka lat współdziałała z Okręgową Izbą Radców Prawnych w Poznaniu. Prowadziła spotkania publiczne ze znanymi osobistościami, w tym z prof. Jerzym Bralczykiem oraz z Grażyną Szapołowską. (red.)

*Artykuł „Tu płynie blues" ukazał się po raz pierwszy w grudniu 2025 r. na stronie internetowej Konińskiej Fundacji Kultury oraz w serwisie ArtRock.pl.

Tu płynie blues...

Nie ma już węgla w Koninie. Ostatnia odkrywka ma dokonać żywota w przyszłym roku. Nie ma cukru. Cukrownia Gosławice została zlikwidowana w 2008 r. Ludzie stracili pracę, a wielu plantatorów musiało zrezygnować z uprawy buraków. Amfiteatru, znanego z derbów kabaretowych i festiwalu dziecięcego, właściwie też nie ma... Nie ma na starówce pubu muzycznego „Alaska" ani artystycznej herbaciarni „Uroczysko", których właściciele mieli ambitny plan, by zrewitalizować historyczną część miasta. Upadły. Samych koninian też zdecydowanie coraz mniej. Na szczęście nadal są instytucje kultury i ważne festiwale, a wśród nich Bluesonalia, które – dzięki determinacji organizatorów oraz znaczącemu wsparciu miasta i województwa – świętowały w listopadzie 2025 r. 30-lecie swojego istnienia.

(T)akt I. Od końca

– Czy są tu dzisiaj jacyś miłośnicy bluesa? – prowokuje Walter Trout drugiego dnia Międzynarodowego Festiwalu Bluesonalia, organizowanego przez Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne InArt we współpracy z Centrum Kultury i Sztuki w Koninie.

Na szczęście byli. I to w komplecie. Zajęli wszystkie miejsca w sali widowiskowej Oskardu. Śpiewali, krzyczeli, klaskali, tańczyli… I nie miało to nic wspólnego z danse macabre na zgliszczach miasta w stylu postapokaliptycznych wizji Stephena Kinga – jak krytycy obecnego „ładu konińskiego" mogliby przypuszczać. Tańczyli, uwiedzeni groove'em, kołysali się, jakby na przekór wszelkim opowieściom o upadku przemysłu i wyludnianiu się miasta; śpiewali wbrew wysokim cenom mieszkań i opłatom za autostradę A2. Życie nie znosi pustki. I chyba dobrze, że w Koninie wypełnił ją blues. I dobrze, że blues znalazł tu p r z e s t r z e ń.

(T)akt II. A to echo grało…

Byłam przed czasem. Myślałam, że będzie pusto i że zdążę posłuchać, jak muzycy się d o s t r a j a j ą. W holu Marek Raduli przybijał radośnie piątkę z Kirkiem Fletcherem. Elise z zespołu FRANK chowała się za długimi włosami. Był też Józef Skrzek, a obok stała Alba Blanco z gitarą. Niezła ekipa, ale to nie oni mieli zagrać na dużej scenie. Tym razem muzykowali tylko na zdjęciach. Wielkoformatowych. Retrospektywna wystawa fotografii Mirka Jurgielewicza *Kolory Bluesa* prowokowała do snucia opowieści.

– Pamiętam, jak Alba skończyła swój występ na jednej strunie. Była moc! – ekscytuje się stały bywalec festiwalu.

Zabrzmiało jak współczesna legenda o polskich pilotach latających na drzwiach od stodoły. Szukam potwierdzenia u źródła.

– Tak, pamiętam. Pękła jej jedna struna pod koniec koncertu. Wulkan energii, fakt – opowiada Andrzej Adamski, jeden z głównych organizatorów festiwalu.

I teraz nie wiem//Co było prawdziwe[1].

(T)akt III. Witek Łukaszewski, czyli postmodernistyczny romantyk

…nie myślę już o tym. Wchodzę do klubu NOT, gdzie Witek Łukaszewski (tym razem w postaci *Nalepa Blues Project*) wygrywa odważnie *Oni zaraz przyjdą tu*. Witek to właściwie polska instytucja kultury. Ktoś powinien mu zrobić czerwony szyld, jeśli jeszcze jakimś cudem go nie ma. W Koninie stworzył z zespołem oryginalny spektakl – który można by zatytułować *Gotyckie zamczysko* – dodając kolejny dowód na *Pośmiertne życie*

[1] Czesław Miłosz *Tak mało*.

romantyzmu[2]. Muzyk przez lata uważany za czołowego gitarzystę flamenco w Polsce, fan Led Zeppelin, wykreował razem z bandem romantyczny performance z improwizacjami godnymi XIX-wiecznego wieszcza. Chłopaki połączyli różne rodzaje sztuki, wrzucili do jednego kotła Grechutę, K.K. Baczyńskiego, Nalepę, King Crimson, a wszystko doprawili intrygującymi aranżacjami i kompozycjami Witka. Gotyckie zamczysko to chyba klucz do ich występu – zdaniem niektórych zbyt eklektycznego.

Witek to szaman, inteligentny mistrz ceremonii, i trudno uwierzyć, że robi coś przypadkowo. Nawet jeśli to tak wygląda. Trzeba pamiętać: jest TEŻ człowiekiem Słowa. Pławi się w intertekstualności i pastiszu. Potrafi twórczo, często ironicznie, reinterpretować mistrzów, a starte toposy wrzucać w szerszy kontekst. Tego wieczoru wszystko się kleiło. Każdy utwór miał przynajmniej mury gotyckiego zamczyska, jak nie zamczysko w całości. Artyści zaczęli od *Oni zaraz przyjdą tu* zespołu Breakout. Wzięli na warsztat jedną z najodważniejszych piosenek[3], z romantycznymi motywami miłości/zdrady, zbrodni/winy i kary, i zrobili z niej postmodernistyczne misterium, podszyte *Riders on the Storm* The Doors. Band Witka zdecydowanie lepiej oddał ducha tekstu Bogdana Loebla niż Breakout. Już samo psychodeliczne intro do utworu, ze skrzypieniem starych drzwi czy odgłosami nocnych ptaków, można by wykorzystać do inscenizacji II cz. *Dziadów* Mickiewicza. Reszta też by pasowała, łącznie z Witkiem oraz Samborem korespondującymi z publicznością niczym Guślarz i Starzec z chórem wieśniaków w przycmentarnej kaplicy. Wśród „ludu" był m.in. Andrzej Majewski – gitarzysta klasyczny, prezes Konińskiego Towarzystwa Muzycznego i były pedagog konińskiej szkoły muzycznej.

– Jestem pod dużym wrażeniem, jak to zrobili – powiedział, zauroczony interpretacją songu z płyty *Blues,* organizator konkursów gitarowych.

Witek i spółka zawlekli jeszcze do starego zamczyska naznaczone tragizmem *Hallelujah* (do słów K.K. Baczyńskiego), a po nim autorskie *Obudź się*, gdzie, opiewając magię madrugady, niczym romantyczni przodkowie wzywali do działania i do *sięgnięcia w głąb siebie*. Nie przypadkiem. Za chwilę nastąpił punkt kulminacyjny: przeszywająca interpretacja *Modlitwy* (Breakout). Sambor zaczął swoją Improwizację, zanim wszedł na Mont Blanc, czyli zanim zaczął śpiewać. Efekt końcowy? Łzy u części zebranej gawiedzi. Pewnie żeby przygotować lud do wyjścia z zamczyska, zagrali *Korowód* Grechuty, a na koniec – *Epitaph*, w którym, zamiast dystopii i pesymizmu w wersji King Crimson, przemycili apel do wiernych o poszanowanie planety, *by serce jej nie pękło*.

– Przyszedłem tu ze względu na Witka i nie zawiodłem się. Świetny koncert, chociaż mam niedosyt, bo liczyłem na więcej utworów Nalepy. Ostatecznie jednak wyszedł projekt na

[2] W książce *Pośmiertne życie romantyzmu* Tomasz Plata stawia tezę, że polski romantyzm ma się dobrze; tym lepiej, im częściej i dotkliwiej jest uśmiercany.

[3]. Utwór *Oni zaraz przyjdą tu* znalazł się w książce Jakuba Krzyżańskiego i Marcina Mieszczaka *pt.100 najodważniejszych polskich piosenek*.

bardzo wysokim poziomie artystycznym. Sambor Dudziński to zdolny człowiek, wykreował na scenie nową rzeczywistość i był w tym autentyczny – dzieli się wrażeniami A. Majewski, autor książki *Na winklu,* opowiadającej o narodzinach konińskiego bigbitu.

(T)akt IV. Włoski temperament i blues

Kto wyjeżdża do Włoch, pewnie nie szuka bluesa, ale ci, którzy dotarli do sali widowiskowej Oskardu po wyczynach bandu Witka Łukaszewskiego, dostali go na tacy. Może nie w czystej postaci, może ostro przyprawiony we włoskiej kuchni rockiem i nowoczesnymi ciekawostkami, ale warto było go doświadczyć. Marco Bartoccioni i jego zespół zafundowali niezłe fajerwerki. Solówki Marco na gitarze lap steel mogły powalić, a przynajmniej wprawić w osłupienie. Występ kreatywnego multiinstrumentalisty, jakim jest Marco Bartoccioni, Aurory Di Rocco (perkusistki wzbogacającej harmonię wokalem) i basisty Marco Polizziego był jak huragan. Jednych trochę wystraszył, innych porwał, a niektórym najpierw podniósł dopaminę niezwykłym widowiskiem, by po chwili wyciszyć się, nie zostawiając trwalszych śladów po sobie.

(T)akt V. Z ziemi amerykańskiej do...

Muzyk urodzony w Karolinie Północnej, pracujący od dzieciństwa na plantacji bawełny i tytoniu, z bluesem spotkał się dopiero jako dorosły mężczyzna w... Niemczech. Big Daddy Wilson (wówczas Adam Wilson Blount) w Stanach słuchał jedynie gospel i country. W czasie, gdy stacjonował z armią USA w Niemczech, pewnego wieczoru wybrał się na koncert bluesowy i... przepadł, a właściwie odnalazł siebie, blues, a po paru latach żonę Annę. W Koninie Big Daddy oczarował warsztatem muzycznym, elegancją, charyzmą oraz głębokim barytonem. Pomógł mu w tym nasz organista Bartek Szopiński.

– Padłam, wyszłam, nie ma mnie – powiedziała jedna z fanek Amerykanina.

(T)akt VI. Jam session

Tej nocy miał jeszcze odbyć się jam session. Fanka Daddy'ego zdecydowała, że dokończy wieczór w domu z płytami idola, a fani freestyle'u zeszli do klubu. Niektórzy z niecierpliwością czekali na to, co się wydarzy. Muzycy z kapeli Bandaż Elastyczny postarali się, by nikt nie wyszedł rozczarowany, i szybko pomogli niektórym „odbiorcom" stać się „nadawcami".

– Lubię jam session. Często się okazuje, że ludzie, którzy czają się w domach, wychodzą wtedy na scenę i świetnie sobie radzą. I to jest radocha. Cenię improwizacje muzyczne, dlatego przychodzę tu, mimo że nie jestem fanką muzyki rockowej – zwierzyła się Ewa Majewska, pionierka we wdrażaniu i propagowaniu nauki gry na fletach z zakrzywioną główką, współorganizatorka koncertów *Muzyka w Ratuszu*.

– Najbardziej podziwiam ludzi, którzy improwizują bez przygotowania muzycznego, takich naturszczyków. Jak mnie to kręci! Jest ich niewielu; wiedzą, jak ma być, czują i grają, chociaż nie potrafią tego nazwać – powiedział A. Majewski.

I tak upłynął dzień pierwszy festiwalu. A mówili wszyscy, że był dobry...

(T)akt VII. Magda Piskorczyk

Dzień drugi inicjuje na małej scenie Magda Piskorczyk. Sala nie bez powodu jest wypełniona po brzegi. Ci, którzy do tej pory nie mieli okazji doświadczyć „la voix noire au costume blanc" – jak mawiają o niej Francuzi – zbiegli się z tymi, którym ciągle mało muzyki eksplorującej korzenie kultury afrykańskiej i afroamerykańskiej. Już przed koncertem płyty rozchodziły się jak świeże bułeczki.

– Dla mnie jest uosobieniem muzyki, muzykalności. Jestem pełna podziwu, że pasja, którą posiada, tak pięknie ją prowadzi w życiu – zapowiada występ artystki Marta Mielcarek, współorganizatorka Bluesonaliów, wiolonczelistka i muzykolożka.

Na scenie Magdę wspomagają wyjątkowi muzycy: Jacek Jaguś (gitara), Konstantin Goryachiy (instrumenty klawiszowe) oraz Кирилл Шевандо (perkusja). Wyrafinowane aranżacje i improwizacje instrumentalistów idealnie dopełniają „czarny" wokal Magdy, co nie jest łatwe, zważywszy, że sięga do różnorodnych tradycji muzycznych. I może właśnie niezrozumienie języka sztuki, którym posługuje się artystka, sprawiło, że grupka rozweselonych panów bukujących miejsca przy barze uporczywie zakłócała koncert. Magda jednak i z tym poradziła sobie z klasą.

(T)akt VIII. Koncert dla Andrzeja Jerzyka

Idea była piękna i prosta: uczcić zmarłego propagatora bluesa w Polsce, Andrzeja Jerzyka, grając na żywo jego ukochane standardy. Ryzykowne przedsięwzięcie, ale wzięli się za to zdolni muzycy, pod przewodnictwem Jana Gałacha, więc miało szansę się udać i najczęściej się udało.

– To jest bardzo trudny utwór – słyszę z ust Adama Urbaniaka, jednego z pomysłodawców Bluesonaliów, i chyba wiem, dlaczego to powiedział były klawiszowiec konińskiego *The Flame*.

A ze sceny wybrzmiały m.in. *Never Make A Move Too Soon* B.B. Kinga (Marta Fedyniszyn), *Old Before My Time* The Allman Brothers Band (Karolina Cygonek), *I Put a Spell On You* w stylu Joe Cockera (Damian Szewczyk), *Skazany na bluesa* Dżemu (Maciek Lipina) czy brawurowo zagrany *Whipping Post* The Allman Brothers Band, w którym po raz kolejny Janek Gałach udowodnił, że urodził się ze skrzypcami w dłoniach.

(T)akty IX i X. Jubileusze dwa

– Dostaliśmy kiedyś propozycję z poznańskiego ratusza, żeby przenieść Bluesonalia do Poznania – wspomina Filip Wilczyński, członek zarządu InArt i początkowo jedyny sponsor imprezy. – Nie odpowiedzieliśmy. Ten festiwal wyrósł w Koninie. Od lat tworzy go grupa przyjaciół kochających muzykę oraz klimat tego miasta i uważam, że tu jest jego miejsce – dodaje laureat konkursu o statuetkę „Kariatyda 2014" w kategorii mecenas kultury, po czym – jak zawsze – znika w tłumie.

Znika, by po chwili pojawić się wraz z innymi członkami stowarzyszenia na scenie, gdzie Piotr Korytkowski, prezydent Konina, gratuluje społecznikom 15. urodzin Stowarzyszenia InArt i 30-lecia festiwalu Bluesonalia.

– Uściskałbym was, ale nie chcę przedłużać – mówi i szybko schodzi ze sceny, bo publiczność już czeka na gwiazdę.

(T)akt XI. Publiczność

Publiczność festiwali muzycznych przypomina widownię w teatrze antycznym. Nie jest łatwym odbiorcą – często zna dyskografię wykonawców lepiej niż starożytni Grecy mity, na których były oparte przedstawienia – ale jest też partnerem inspirującym i motywującym artystów. Zmusza bowiem wykonawców, by wywołali u odbiorcy „wstrząs". Jeśli katharsis się nie wydarzy, nawet wybitna biegłość w grze na instrumencie, najcudowniejsze chórki i wokale nie zagłuszą uczucia pustki u fanów bluesa.

Do konińskiego Oskardu zjechali melomani z całej Polski i nie tylko. Wśród publiczności nie zabrakło podopiecznych Fundacji PODAJ DALEJ, artystów, animatorów kultury, przedsiębiorców, zawodowych muzyków, urzędników, nauczycieli, lekarzy, emerytów... Niektóre twarze od lat niezmiennie można spotkać w Koninie. Niestety, młodych ludzi jest zdecydowanie mniej niż w poprzednich edycjach.

– Stało się u nas to, co obserwowałem już kilkanaście lat temu w Niemczech. Znak czasu. Młode osoby rzadziej uczestniczą w wydarzeniach kulturalnych. Nie wiem, czy ten trend jest do odwrócenia – zastanawia się Krzysztof Pydyński, dyrektor konińskiej szkoły muzycznej.

(T)akt XII. *Już nie wiem, co jest prawdziwe*

– Są tu jeszcze jacyś miłośnicy bluesa? – pytam za Walterem Troutem.

W głowie nadal brzmią ostatnie akordy piosenki z koncertu dla Jerzyka. 20 minut przerwy musi wystarczyć, żeby je uciszyć i zrobić miejsce na to, co ma się wydarzyć na finał dwudniowego festiwalu.

– Grali u nas Warren Haynes, Chris Duarte, Robben Ford, Coco Montoya, Doyle Bramhall II czy Wishbone Ash, więc myślę, że Walter Trout też da radę – żartuje Filip Wilczyński.

Członek zarządu Stowarzyszenia InArt nie powie tego, w ogóle mało mówi, ale poza Wishbone Ash wszyscy najwięksi zjechali do Konina w dużej mierze dzięki jego staraniom i… (nie wstydźmy się tego powiedzieć) pieniądzom, które mógł wydać na tysiąc innych rzeczy.

I stało się światło! Walter Trout pojawia się na scenie. Za nim wchodzą Michael Leasure (perkusja), John Avila (bas) i Roland Bakker (organy Hammonda). Gitarzysta zakłada kapelusz i gra solo. Brzmi, jakby od rana nic innego nie robił. Po chwili Avila dochodzi do głosu i już p o d s k a k u j e. (Coś mi podpowiada, że ta strzelba[4] narobi hałasu). Leasure i Bakker biegle robią swoje. Po *I Can Tell* wiemy, że to nie są zwyczajni ludzie i że nie przyjechali tu, żeby sobie tylko pograć. Są jak Drużyna Pierścienia. Każdy z nich inny, wszyscy tak samo wyjątkowi i niezbędni. Już wiemy, że mają tyle sił i talentu, by móc ocalić – jeśli nie Śródziemie – to przynajmniej osobiste krainy każdego z nas.

Wiem, wiem, że masz w sercu kogoś innego, kochanie (…)
Widzę to w twoich oczach, myślisz o odejściu[5]

Tak, są takie spotkania, kiedy już od początku myślimy, że niestety się skończą. Ale, ale, oni przecież dopiero się witają…

– Wydaliśmy nowy album, dla mnie to już 32. I dziś wieczorem zagramy dla państwa parę piosenek z niego. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko – grzmi ze sceny Walter Trout.

Sprzeciwu brak, nikt nie wstrzymuje się od głosu. Co prawda nie przegłosowaliśmy zmiany wersji *Too Bad* z najnowszego krążka *Sign Of The Times* ze studyjnej (w stylu tradycyjnego bluesa) na koncertową, ale nie słychać jęku zawodu, gdy surowe brzmienie i harmonijkę wypierają głośny elektryk oraz dobrze naoliwiona machina bandu. Zabujało! I chyba miało przygotować na *Artificial* – mocny głos Waltera w obronie autentyczności.

– Oglądałem filmik na telefonie i to było jakieś dziwne g… Zapytałem więc żony: „Co to jest?”. Odpowiedziała mi: „Walter, to SI, sztuczna inteligencja”. Powiedziałem jej: „Już nie wiem, co jest prawdziwe”. Wiecie, o co mi chodzi? – dopytuje były muzyk Canned Heat.

Ciężkie riffy *Artificial,* ostre brzmienie gitar elektrycznych (na drugiej od tego utworu gra John Trout), „brudne” solówki Waltera, niepokojący puls basu, krzykliwy wokal nie zostawiają wątpliwości, że świat kreowany przez algorytmy botów budzi w artyście pogardę i przerażenie. Po chwili – może po to, by się upewnić, że głos publiczności rezonuje z jego głosem; a może, by wskazać formę skutecznego oporu wobec sztucznego świata – pyta retorycznie, czy są na sali miłośnicy bluesa. W przeciwnym razie na pewno nie zagrałby *Say Goodbye To The Blues* – hołdu dla Johna Mayalla. I w tym momencie koncert stał się osobistą sprawą Waltera. Reszta muzyków z pokorą dostroiła się do

[4] Nawiązanie do „strzelby Czechowa” – zabiegu kompozycyjnego, zgodnie z którym każdy element historii musi być niezbędny, w przeciwnym razie nie powinien w ogóle wystąpić. „Jeśli w pierwszym akcie powiesiłeś strzelbę na ścianie, to w kolejnym musi wystrzelić” – pisze autor *Trzech sióstr* w jednym z listów.
[5] Fragment piosenki *I Can Tell* Bo Diddleya. W. Trout często gra go na koncertach.

przejmującej rozmowy przyjaciół. W utworze *Hurt No More* (do tekstu Marie Trout, żony Waltera) członkowie zespołu mogą już więcej. Wykorzystuje to mag Michael Leasure, który – chyba z pomocą wiatru rozwiewającego mu włosy przez cały występ (!) – pałeczki perkusyjne przemienia w czarodziejskie różdżki. Częściowo schowany za bębnami przypomina bardziej Hagrida z *Harry'ego Pottera* niż zwykłego śmiertelnika. John Avila też odpala głębsze pokłady kreacji, wokalem i kosmicznym basem wzbogacając harmonię utworów. Mocne, ostre brzmienie i energia *Hurt No More* chyba miały jeden cel: przypieczętować powrót Waltera do żywych[6]. Udało się!

Były członek Bluesbreakers po raz kolejny potwierdza świetną formę, rozprawiając się z hipokryzją i obojętnością w *No Strings Attached*. Wykrzykuje: „twoje serce czernieje i wysycha", ale na szczęście nie zostawia nas bez nadziei. Rasowy bluesman nie pogrąża się w mroku dłużej, niż to konieczne. Walter też tego nie robi. Po chwili uspokaja balladą skomponowaną dla ukochanej Marie: *Mona Lisa Smile*. Liryczne wyznanie robi wrażenie i – chociaż ze sceny nie słyszymy, tak jak na płycie, akordeonu, mandoliny czy skrzypiec – gitara Waltera i akustyczna Johna, z subtelnym uzupełnieniem klawiszy, basu i perkusji, t e g o dnia nas zadowalają.

A jeśli ktoś miał przez chwilę niedosyt instrumentarium, szybko o tym zapomniał dzięki utworowi *We're All In This Together,* nagranemu wspólnie z Joe Bonamassą w 2017 r. To nie przypadek, iż Walter tuż przed nim przedstawia nam oficjalnie syna Johna i prosi, żebyśmy posłuchali, jak gra na gitarze. I poszli... Tyle podobieństw: identyczne gitary, te same nazwiska, w wielu momentach identyczny (!) kąt trzymania gryfu (jakby trenowali przed lustrem grę synchroniczną na olimpiadę) i jeszcze więcej różnic. Dobra, powiem to: John i Walter są trochę jak Apollo i Marsjasz. Ich dialog muzyczny w *We're All In This Together* to pojedynek i nie pojedynek zarazem. Niby nie walczą ze sobą – doskonale się rozumieją, synchronizują ruchy i brzmienie – a mimo to wielu z nas czuje się świadkami wielkiego starcia.

– Jaki potężny chłop, wygląda jak Wiking – słyszę za plecami.

– Jest boski. Jaki wokal! – wykrzykuje kobieta.

– A ja wolę Waltera. Młody na razie tylko genialnie gra – wtrąca się trzecia osoba dramatu rozgrywającego się na widowni.

Gdyby była Midasem, już miałaby ośle uszy. Tak Apollo ukarał władcę za oddanie głosu na Marsjasza.

---

[6] „Byłem martwy. Leżałem w szpitalnym łóżku osiem miesięcy. Doznałem uszkodzenia mózgu. Schudłem 54 kilogramy. Nie mogłem chodzić. Nie mogłem mówić. Nie rozpoznawałem ani dzieci, ani żony; nie wiedziałem, kim są (....). Miałem rurkę w nosie (...). Wyszedłem ze szpitala [po przeszczepie wątroby – przyp. K.R.-M.] w 2014 roku. Musiałem od nowa nauczyć się grać na gitarze; zajęło mi to rok" – W. Trout opowiada w 2022 r. dziennikarzowi Graeme Stroundowi na łamach Velvet Thunder.
https://www.velvetthunder.co.uk/walter-trout-bluesman-the-interview/

– To właśnie John Trout – ogłasza na koniec dumny ojciec. – No, dość gadania. Teraz piosenka *Red Sun* – zapowiada.

Siedzę na szczycie góry
Patrzę na morze (...)
W kieszeni mam anielskie piórko[7]

Często artyści z panteonu umieją ustąpić miejsca innym. I tak rozlega się solo na organach Hammonda w wykonaniu Bakkera. Po nim John po raz kolejny udowadnia, że nieprzypadkowo znalazł się w bandzie. Na listę popisów wirtuozerskich wpisuje się też Leasure.

– Boże, jak? Czym? Przestań – woła polski perkusista stojący pod sceną. – Kochanie, idź stąd – zwraca się do żony. – Nie słuchaj tego! – dodaje. – Co? Jeszcze to? Nienawidzę cię! – wykrzykuje fan po wyrzuceniu przez Leasure'a (Hagrida?) pałeczki (różdżki?) do góry bez najmniejszego uszczerbku dla miarowości rytmu i kosmicznego tempa gry.

A przed nim (tu brakuje czasownika) na gitarze basowej (chociaż też jestem sceptyczna co do przedmiotu obserwacji) John Avila. Około 5 minut konsternacji, szaleństwa i podziwu. Chyba nawet mało kto nagrywał. Jednym słowem: strzelba wypaliła.

– Facet jest nieziemski, lubię ten sposób używania basu. Ma bajery pod stopą, ale pięknie z nich korzysta. Gra trochę perkusyjnie, trochę jak na gitarze elektrycznej i jakoś to wszystko łączy. Porusza się z dużą swobodą po gryfie. Wiadomo, że to pod solówkę, ale nawet jak grał z bandem, to też nie było tak typowo basistowsko. Widać, że palce go świerzbią, ale umie się zdyscyplinować. No bo musi trzymać tę całą bandę w rytmie – dzieli się wrażeniami basista i fan bluesa.

Okazuje się, że nie tylko ja podświadomie czekałam, kiedy Avila podpali gitarę... Nie podpalił, za to na koniec wszedł w rolę mistrza ceremonii i zapowiedział solo Waltera Trouta. A ten po prostu znów zrobił swoje. Człowiek, który po ciężkiej chorobie uczył się na nowo mówić i grać na gitarze, dał muzyczny i (nad)ludzki dowód na to, że – jak lubi powtarzać – cuda się zdarzają.

– Zostawcie światła, chcę was wszystkich widzieć. Niech każdy, kto czuje, że jeszcze raz damy czadu, przejdzie do przodu. No, chodźcie tu, nie martwcie się! – krzyczy ze sceny niczym trybun na manifestacji ulicznej.

Skutecznie. Publiczność po chwili rusza na dół jak zahipnotyzowana, by oddać przynajmniej część tego, co dostawała przez ostatnie dwie godziny. Schodzi, śpiewając razem z Walterem *Going Down*.

[7] Fragment piosenki *Red Sun* z płyty *Survivor Blues*.

I nastaje radość, jak wtedy, *gdy tłum, który nie ma nic wspólnego, połączy się w jedność dusz* [8]. Czy to jest sign of the blues?

I tak prawie minął dzień drugi festiwalu. A mówili ludzie, że był dobry.

Katarzyna Roszak-Markowska
Zdjęcia: Wojciech Ziemski
Wszystkie tłumaczenia z języka angielskiego: Mateusz Markowski

[8] Fragment pochodzi z tekstu *WALTER TROUT Channels Dissonance And Outrage on New Single "Sign Of The Times"* - https://metalshockfinland.com/2025/07/17/walter-trout-channels-dissonance-and-outrage-on-new-single-sign-of-the-times.



Fot. Wojciech Ziemski


HAMMOND XK-4
Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


HAMMOND XK-4
Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski



Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski


Fot. Wojciech Ziemski